

JEGO PRZYSZŁA ŻONA GO NIENAWIDZI,
ALE OBOJE MUSZĄ ZGODZIĆ SIĘ NA TEN UKŁAD.

KONTRAKT JACKSONA

SLOW BURN #1

J. T. GEISSINGER



Tytuł oryginału

Burn for You

Copyright © 2020 by J. T. Geissinger

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe

Oświęcim 2021

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Magdalena Lisiecka

Korekta:

Anna Powązka

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Przygotowanie okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-476-4

J. T. GEISSINGER

KONTRAKT JACKSONA

ISKRY MIŁOŚCI #1

TŁUMACZENIE

MALWINA STOPYRA

OŚWIĘCIM 2021

Dla Jaya, za dwadzieścia lat szczęśliwego życia.

JEDEN

BIANCA

Pierwszy raz, kiedy mój wzrok spoczął na człowieku, którego w całym stanie Luizjana nazywano Bestią, pomyślałam, że nie mógł być tak zły, jak głosiła jego reputacja.

Okazało się, że byłam w błędzie.

Był jeszcze gorszy.

Ubrany cały na czarno, stał górując o głowę nad wszystkimi, a ramiona miał tak szerokie, że rzucały złowieszczy cień na drewnianą podłogę. Jackson Boudreaux lustrował gwarną salę jadalną mojej restauracji z wyrazem twarzy króla, który zaszczycił swoją obecnością wioskę biedoty skażonej jakąś plagą.

Usta miał wykrzywione. Oczy zwężone. Nos trzymał tak wysoko, że zastanawiałam się, czy gdyby zaczął lać deszcz, uniknąłby utonięcia.

– Łoo Panie, trafił nam się wilkołak! Dawaj czosnek!

Stojąca obok mnie przy kuchence moja sous chef Ambrosine uczyniła znak krzyża nad swoją okazałą klatką piersiową, kiedy zerknęła przez szklaną ścianę na mężczyznę w czerni. Eeny, jak pieśzcotliwie nazywali ją ci, którzy ją znali, była emerytowaną kapłanką voodoo, z kolekcją przesądów prawie tak barwną jak jej afrykańskie kaftany z plemiennymi wzorami.

– Czosnek działa na wampiry, nie na wilkołaki, Eeny – powiedziałam, spoglądając ponad stolikami w stronę stanowiska hostessy na przedzie restauracji, gdzie stał mężczyzna otoczony chmurami burzowymi, wpatrujący się groźnie w hostesę, Pep-

per. Biedna dziewczyna z każdą chwilą wyraźnie kurczyła się w sobie pod ciężarem jego spojrzenia.

Przebłysk irytacji sprawił, że zmarszczyłam brwi.

To był pierwszy i najłagodniejszy taki przebłysk tego wieczora.

– To żaden wilkołak ani wampir – burknął głos po mojej prawej.

Zerknęłam na mojego cukiernika. Hoyt był ponad siedemdziesięcioletnim potomkiem francuskich osadników z akcentem cięższym niż błoto z zalewu, szpakowatą brodą i artretycznymi rękami, które wciąż potrafiły stworzyć najlepsze ciasta w Nowym Orleanie. Wskazał podbródkiem na nowoprzybyłego, po czym skierował uwagę na wielką kulę ciasta, leżącą na obsypanej mąką, drewnianej stolnicy na blacie przed nim.

– Rozpoznaję jego twarz z gazet – powiedział Hoyt. – Tam stoi *boodoo tête de cabri*, pan Burbon¹ Boudreaux Jr. we własnej osobie.

– Niech mnie drzwi ścisną – powiedziałam z paniką.

Moja panika nie wynikała z faktu, że Hoyt właśnie nazwał tajemniczego nowoprzybyłego zadufanym bucem. Hoyt miał swój sposób na opisywanie ludzi i był on równie barwny jak parada z okazji Mardi Gras. Chodziło o to, że ten *konkretny* zadufany buc był dziedzicem imperium najlepiej sprzedającego się burbona na świecie.

Burbona, na bazie którego stworzyłam całe swoje wiosenne menu.

To menu zostało niesłychanie dobrze odebrane przez moich gości i stało się przyczyną wzrostu liczby rezerwacji. Otrzymało fantastyczne recenzje od lokalnych krytyków kulinarnych i nawet w tym miesiącu była o nim przychylna wzmianka w magazynie „Gourmet”.

Szczerze mówiąc, to było menu tak przepełnione miłością, duszą, nadzieją i potem, że czułam, jakby było moim dzieckiem. Poświęciłam całe miesiące na przygotowanie go, testowanie i dopracowanie do perfekcji.

¹ Burbon – amerykańska whiskey (przyp. red.).

Jednak przybycie na kolację *Jacksona Boudreaux we własnej osobie* było wydarzeniem, na które kompletnie się nie przygotowałam.

Wiedziałam, że mieszkał w Nowym Orleanie – przecież też czytałam gazety – ale tak wiele słyszałam o jego nietowarzystwie i pustelniczym, że uznałam za nieprawdopodobne, by kiedykolwiek miał stanąć w moich progach, nawet jeśli jego rodzinny burbon zainspirował menu.

A jednak – oto on.

Całe sto dziewięćdziesiąt gniewnych centymetrów.

Przerażający na śmierć moją hostesę i powodujący upiorną ciszę na sali.

– Jak mogłam przegapić jego nazwisko na liście rezerwacji? – zawołałam. – Gdybym wiedziała, że przyjdzie, upewniłabym się, żeby dostał najlepszy stolik!

Eeny powiedziała:

– Pepper właśnie posadziła ośmioosobową rodzinę przy najlepszym stoliku. To jakieś przyjęcie rocznicowe. Prawdopodobnie spędzą tu kilka godzin.

Jęknęłam. Kusiło mnie, żeby wyjść i osobiście znaleźć dla niego stolik, ale byliśmy zawałeni robotą, więc musiałam wierzyć, że Pepper da z siebie wszystko i znajdzie dla niego jakieś miejsce.

– Biercie się do pracy! – poinstruowałam resztę załogi kuchennej, ponieważ przerwali to, co robili, żeby wpatrywać się w Jacksona Boudreaux, zupełnie jak wszyscy inni.

Kiedy nikt się nie ruszył, klasnęłam w dłonie. Załoga ruszyła do działania, wiedząc, że klasnięcie oznacza branie się do roboty. Nigdy nie podnosiłam na nich głosu, nawet kiedy byłam wściekła, a to zdarzało się rzadko. Z natury byłam pogodnie usposobiona.

I właśnie miało to zostać wystawione na próbę.

– Henri, potrzebuję więcej galaretki pieprzowej! – zawołałam do jednego z kucharzy, kiedy skupiałam się ponownie na naczyniu z étouffée z kaczki, które wykladałam na talerz. Każde danie

mogło opuścić kuchnię tylko po mojej drobiazgowej inspekcji. Gdy Henri podszedł do mnie z opakowaniem pikantnej galaretki domowej roboty, odepchnęłam od siebie myśli o Jacksonie Boudreaux, żeby skoncentrować się na zadaniu.

Kiedy skończyłam, szybko podałam talerze oczekującemu kelnerowi. Dwa kolejne dania, wymagające sprawdzenia, natychmiast zajęły ich miejsce za sprawą kelnera po mojej drugiej stronie. Restauracja pękała w szwach i choć była dopiero szósta, wiedziałam, że czeka mnie długa noc. Nie mogłam być szczęśliwsza.

To spełnienie moich marzeń. Dorastałam w kuchni restauracji mojej mamy i oszczędzałam przez lata, żeby otworzyć własną. Gotowanie miałam we krwi, tak samo jak jazz i Saintsów².

Pierwszy cios w moje szczęście nastąpił, kiedy hostessa wpadła przez metalowe drzwi i wybuchnęła płaczem.

– Ten zafajdany sukinkot może pocałować mnie w dupę!
– krzyknęła Pepper, wściekle pocierając wilgotne oczy, przez co tusz do rzęs rozmazał się jej na całe policzki.

Pepper kleła jak szewc, nakładała za dużo makijażu, włosy miała pofarbowane na dziwkarską czerwień i tak krótkie, jak wysokie były jej szpilki, ale była naprawdę słodką dziewczyną, która radziła sobie z ludźmi. Stali klienci ją uwielbiali.

Poza tym to była Dzielnica Francuska. Gdybym chciała mieć hostesę wyglądającą jak bezpłciowa zakonnica, musiałabym sama obsadzać stoliki.

Chwyciłam Pepper za ramię i poprowadziłam na tył kuchni, w poblizko chłodni. Ostatnim, czego chciałam, to żeby moi klienci dostali próbkę ostrych słów Pepper jako dodatek do gumbo.

Podaliśmy Pepper chusteczkę.

– Co się dzieje?

Pepper otarła oczy i dramatycznie pociągnęła nosem.

– Ten mężczyzna, który właśnie wszedł...

² New Orleans Saints – nowoorleański zawodowy zespół futbolu amerykańskiego (przyp. red.).

Poczułam uścisk w żołądku.

– Pan Boudreaux?

Przytaknęła, po czym rozpoczęła wściekłą tyradę:

– Powiedział, że chce stolik, więc oznajmiłam mu, że mamy komplet, a on zapytał, co to, u diabła, ma znaczyć, no to próbowałam uprzejmie wytłumaczyć, że nie mamy żadnego wolnego stolika, a on zaczął jeszcze bardziej zadzierać nosa i powiedział: „Nie wiesz, kim jestem!” i zażądał, żebym znalazła dla niego stolik, a ja powiedziałam, że właśnie mówiłam panu, że nie mamy wolnych stolików, a lista oczekujących jest długa na kilometr, ale on mi przerwał i powiedział, bardzo złośliwie, szczekając jak wściekły kundel, że jego nazwisko znajduje się we wszystkich pozycjach naszego menu i jeśli nie zorganizuję mu stolika, to zadba o to, żeby nasza nazwa ukazała się we wszystkich gazetach i to nie w dobrym kontekście, bo on zna wszystkich z prasy! Czyli najzwyczajniej mi groził, a kiedy zrobiłam zmartwioną minę, warknął, że mam przestać się mazgać! Mazgać się! Zrobił ze mnie bekse!

Pepper zakończyła wywód, tupiąc swoim wysokim obcasem.

Ścisnęłam nasadę nosa i westchnęłam. Czyli pan Boudreaux jednak nie miał rezerwacji. A zaufanie Pepper, że zrobi, co w jej mocy, nie zadziało dokładnie tak, jak chciałam.

– W porządku, Pepper, pierwsza sprawa: uspokój się. Weź głęboki oddech.

Zrobiła to niechętnie.

– Dobrze. A teraz wróć tam i powiedz mu, tylko uprzejmie, proszę, że właścicielka przyjdzie porozmawiać z nim za kilka minut. Potem zaprowadź go do baru i powiedz Gilly’emu, żeby podał mu drinka. Na koszt firmy.

– Ale...

– Pepper – przerwałam jej stanowczym tonem. – To jest Jackson Boudreaux. Ten facet mógłby kupić całe to miasto sto razy i bez wątpienia ma powiązania ze wszystkimi szpanerami,

a to oznacza, że jeśli poczuje się źle potraktowany, każdy z nich o tym usłyszy, a to nie będzie dobre dla restauracji. Przykro mi, że nie był dla ciebie miły, ale musisz nauczyć się, jak radzić sobie z takimi typkami, żebyś sama wyszła z twarzą.

Uśmiechnęłam się, żeby złagodzić swoje słowa i ścisnęłam ramię Pepper.

– I pamiętaj, że największy łobuz w środku jest tylko wielkim dzieciakiem. Więc wyobraź go sobie w pieluszcze, ze smoczkiem w buzi, i nie daj się onieśmielić.

Pepper skinęła głową i znowu pociągnęła nosem.

– Wołałabym wyobrazić sobie, jak ktoś wpycha mu w tyłek wiadro raków, w miejsce tego kija, który już tam ma.

Głośny rechot z przodu kuchni należał do Eeny.

– Urocze, Pepper – powiedziałam oschle. – A teraz idź.

Ostatni raz pociągnęła nosem i wymaszerowała z kuchni.

Dopiero po dziesięciu minutach mogłam wygospodarować chwilę, żeby opuścić kuchnię. Kiedy przeszłam przez metalowe drzwi, zobaczyłam, że Pepper wykonała moje polecenie.

Jackson Boudreaux stał przy końcu baru i zerkał na swojego drinka, jakby ten chamsko ubliżył jego matce. Mimo że pozostała część baru była zatłoczona, wokół niego pozostawało przynajmniej półtora metra wolnej przestrzeni, jakby sama jego obecność działała odpychająco.

A może śmierdzi?

Zważywszy na jego wygląd, istniała taka możliwość. Czarna, skórzana kurtka, którą miał na sobie, była tak pognieciona i poszarpana, że mogła pochodzić z innego stulecia. Gęsty zarost na twarzy wskazywał na to, że nie golił się nawet w przybliżeniu regularnie, a jego włosy – tak ciemne, jak mroczny był wyraz

jego twarzy – zawijały się nad kołnierzykiem i opadały na czoło, sugerując, że nie widziały nożyczek od lat.

Nic dziwnego, że Eeny nazwała go wilkołakiem. Facet miał wygląd dzikiego, niebezpiecznego stworzenia, na które można by się natknąć podczas przechadzki po lesie o północy.

Podniósł wzrok i przyłapał mnie na gapieniu. Odczułam wagę jego spojrzenia przez całą szerokość sali, jego nagłą, niespodziewaną siłę, zupełnie jakby wyciągnął rękę i chwycił mnie za szyję.

Oddech uwiązał mi w gardle. Musiałam się powstrzymać, żeby nie zrobić kroku w tył. Zmusiłam się do uśmiechu, a potem do ruszenia naprzód, chociaż wszystkie moje instynkty krzyczały, żebym się odwróciła i poszukała fiolki z wodą święconą oraz broni naładowanej srebrnymi pociskami.

Zatrzymywałam się często, żeby uścisnąć ręce stałym klientom i się przywitać, więc minęło kolejne kilka minut, zanim dotarłam do baru. Kiedy wreszcie stanęłam przed moim celem, z przerażeniem stwierdziłam, że wyraz jego twarzy zmienił się z odrobinę nieprzystępnego w otwarcie morderczy.

Pierwszym, co Jackson Boudreaux do mnie powiedział, było:

– Nie lubię, kiedy ktoś każe mi czekać.

Oho, czyżby Bestia miał piękny głos?

Głęboki i bogaty, jedwabisty, ale z lekkim pomrukiem, stał w zupełnej sprzeczności z jego niechlujnym wyglądem. Emanował pewnością siebie, władczością i surową seksualnością. To głos mężczyzny, który jest pewny swojego miejsca na świecie – głos przyzwyczajony do wydawania rozkazów zarówno pracownikom, jak i kobietom, które znajdowały się pod nim w łóżku.

Poczułam, że fala gorąca rozlewa się po mojej szyi. Nie byłam pewna, czy to z powodu irytacji, tego głosu czy rozprasających, stalowo błękitnych oczu, które właśnie wypalały w mojej głowie dwie dziury.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, warknął do mnie:

– Pani hostessa jest niekompetentna. Muzyka jest zbyt głośna. A pani menu jest pretensjonalne. Romeo i Julep? Ostatni Mojita-nin? Okropne. Gdybym sugerował się pierwszym wrażeniem, uznałbym, że jedzenie też macie okropne.

Rumieniec z szyi przeniósł się na policzki. Moje usta zdecydowały się odpowiedzieć, zanim ja to zrobiłam.

– A gdybym ja sugerowała się pierwszym wrażeniem, uznałabym, że jesteś jednym z tych bezdomnych żebraków, którzy nękają turystów na bulwarze, i wyrzuciłabym cię z restauracji.

Nozdrza mu zadrgały i wbił we mnie spojrzenie.

To by było na tyle, jeśli chodzi o wyjście z twarzą.

Żeby ukryć zażenowanie, wyciągnęłam rękę i się przedstawiłam.

– Bianca Hardwick. Miło pana poznać, panie Boudreaux.

Nastąpił okropny, długi moment, kiedy sądziłam, że zacznę wrzeszczeć, ale po prostu ujął moją dłoń i potrząsnął.

– Panno Hardwick. Miło mi panią poznać.

Jak formalnie. Czyli jednak nie urodził się w stodole.

– Proszę mówić do mnie Bianca. Przepraszam za zwłokę.

Jackson puścił moją dłoń i w tym momencie zniknęła jego uprzejmość.

– Gdybym chciał nazywać panią po imieniu, zrobiłbym to. Gdzie mój stolik?

Spojrzał na mnie ze wściekłością, jego dłoń była tak ciasno owinięta wokół szklanki, że pobiełały mu knykcie.

Pepper miała sporo racji. Jestem jej winna przeprosiny.

Zwalczyłam chęć kopnięcia Jacksona w goleń, zamiast tego obdarzyłam go moim najśłodszy uśmiechem ślicznotki z Południa. Nie zamierzałam dać się onieśmielić ani zastraszyć, a tym bardziej stracić opanowania przez tego aroganckiego gnojka.

– Och, na pewno gdzieś tutaj jest. – Specjalnie nonszalancko machnęłam ręką w powietrzu, bo wiedziałam, że to go zirytuje.

– Kiedy tylko stolik się zwolni, wciśniemy pana na jakieś miej-

sce. Miło, że pan wpadł. A teraz proszę mi wybaczyć, muszę wracać do...

– Panno Hardwick – syknął, podchodząc bliżej, żeby nade mną górować. – Gdzie. Jest. Mój. Stolik?

Czułam mnóstwo spojrzeń zwróconych w naszym kierunku. Kątem oka zobaczyłam barmana Gilly'ego – którego traktowałam prawie jak brata – z twarzą czerwoną ze wściekłości przez to, jak zostałam potraktowana. I czy to moja wyobraźnia, czy w restauracji znowu zrobiło się cicho?

Jedną rzecz zdecydowanie wyobraziłam sobie niewłaściwie. Jackson Boudreaux nie śmierdział. Ani trochę. Stojąc tak blisko, wylapałam jego zapach, przepyszny powiew egzotycznego piżma i ciepłej, czystej skóry. Byłby niezwykle seksowny na każdym innym człowieku.

Ale to nie był nikt inny. To Książę Dupków, dziedzic międzynarodowej dynastii whiskey, pozbawiony potrzeby golenia się, strzyżenia, nakładania nowych ubrań oraz, jak się wydaje, poszanowania dla ludzkiej rasy.

Pieluszka! Wyobraź go sobie w pieluszce, ze smoczkiem w tych wielkich, tłustych ustach!

Uniosłam podbródek i spojrzałam mu w oczy. Powiedziałam spokojnie:

– Może i racja, że muzyka jest zbyt głośna. To musiało wpłynąć na pana słuch, bo właśnie powiedziałam, że dostanie pan stolik, kiedy tylko jakiś będzie wolny. A może mam kogoś wyrzucić? Może tę miłą, starszą parę przy pianinie? Wyglądają na takich, którzy mniej zasługują na posiłek niż pan, prawda?

Zacisnął wargi. Mięsień w jego szczęce drgnął. Powoli wciągnął powietrze przez nos.

Zastanawiałam się, czy powstrzymał się przed roztrzaskaniem szklanki o ścianę. Serce waliło mi jak oszalałe, ale stałam w miejscu i nawet nie mrugnęłam.

W końcu przeczesał dłonią swoją rozwichrzoną czuprynę i wypuścił powietrze. Wyraźnie dało się słyszeć rozdrażnienie, które pokazywało, co myślał o wchodzeniu w interakcje z współstwem.

Zwłaszcza takim, które ośmielało się pyskować.

– Jak długo? – warknął.

W tym momencie mój uśmiech umarł bolesną śmiercią.

– Doprowadził pan moją hostessę do łez. Jak pan sądzi, na jak długie czekanie zasługuje pan po takim zachowaniu?

Odpowiedział mi przez zaciśnięte zęby:

– Nie jestem człowiekiem, z którym można sobie pogrywać, panno Hardwick. Jak już powiedziałem pani rozhisteryzowanej hostessie, znam wszystkich znaczących krytyków kulinarnych...

Prychnęłam.

– Ależ z nich szczęściarze!

– ...i skoro moje nazwisko pojawia się przy większości dań w pani menu, spodziewałem się, że będzie pani bardziej uprzejma...

– Technicznie rzecz biorąc, Boudreaux to nazwisko pana rodziny, zgadza się?

– ...ponieważ leży w moim interesie, żeby wszystko, na czym jest moje nazwisko...

– Przepraszam, w jaki sposób moje menu nagle stało się pana własnością?

– ...i jeśli pani jedzenie jest tak złe jak wszystko inne, czego do tej pory doświadczyłem, w tym pani podejście, nie zawaham się porozmawiać z moimi kontaktami biznesowymi, a także z prawnikami, o tym naruszeniu znaku firmowego mojej rodziny.

Szczęka mi opadła. Wpatrywałam się w niego z przerażeniem.

– Grozi mi pan pozwem? Nie może pan mówić poważnie!

W odpowiedzi spojrział na mnie ze zmrużonymi powiekami. Z jego piersi wydobył się niski, niebezpieczny warkot.

O nie. Nie, to niemożliwe, żeby on właśnie próbował mnie przerazić tym zwierzęcym odgłosem.

Pokonałam ostatni dzielący nas krok, spojrzałam prosto w te zimne, niebieskie oczy i powiedziałam:

– Nie obchodzi mnie, kim pan jest, panie Boudreaux, ani jak bardzo może pan zaszkodzić mojej opinii, ani tym bardziej jak wielu przepłacanych prawników pan posiada. Pana maniery są okropne. Jeśli warknie pan na mnie raz jeszcze, naprawdę pana wyrzucę.

Odsunęłam się i odpowiedziałam na jego palące spojrzenie moim własnym.

– Dostanie pan następny wolny stolik. W międzyczasie proszę wypić kolejnego drinka na mój koszt. Może alkohol zmieni pana z powrotem w istotę ludzką.

Kipiąc ze złości, odwróciłam się i odeszłam, przekonana, że Jackson Boudreaux to najbardziej arogancki, nadęty i wybuchowy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek miałam nieszczęście poznać. Jedyne, co mogłabym do niego poczuć, to odraza.

Jak miało się okazać, w tej kwestii również się myliłam.

DWA

BIANCA

Jackson siedział w restauracji cztery godziny i spróbował każdego cholernego dania z menu, w tym aż dwóch porcji placcka z jeżynami i burbonem na deser.

Jadł w taki sam sposób, w jaki mówił. Mechanicznie, jakby nie czerpał z tego żadnej przyjemności, jakby to była irytująca niedogodność, jeszcze jedna rzecz, którą należy przetrwać w tym długim, nieprzyjemnym dniu. Nadal rozdrażniona naszą interakcją, obserwowałam z kuchni, jak siedział sam i patrzył wilkiem na każdy kolejny talerz. Wzrok miał spuszczonego i ignorował wszystkie zaciekawione spojrzenia rzucone w jego kierunku.

Eeny zatrzymała się obok mnie, podążyła za moim spojrzeniem i stwierdziła:

– Ten chłopak chyba nie jadł przez rok!

Odchrząknęłam gorzko.

– Pochłaniał tylko dusze tych, którzy nie spełnili jego oczekiwań.

Zachichotała.

– Widzę, że LaDonna Quinn chciałaby dać mu coś innego do skosztowania zamiast twoich ostrych żeberek. O Panie, ta sukienka, którą założyła, jest tak ciasna, że prawie można dostrzec jej życie wewnętrzne.

Już trzeci raz świeżo rozwiedziona brunetka przeszła dumnie obok stolika Jacksona. Kołysała biodrami, bawiła się włosami i trzepotała rękami. Jednak gdyby patrzeć na uwagę, którą jej poświęcił, mogłaby równie dobrze być niewidzialna.

– Ooo... a oto zbliża się Marybeth Lee ze swoimi walorami!
– oznajmiła radośnie Eeny, wskazując na seksbombę Marybeth, nadzwyczajną łamaczkę męskich serc, za której złotymi lokami i figurą w kształcie klepsydry oglądają się wszyscy mężczyźni bez wyjątku. Wyszła z damskiej toalety i nadłożyła drogi do swojego stolika, by przejść obok Jacksona z uwodzicielskim uśmiezkim skierowanym wprost na niego.

Posłał jej miążdżące spojrzenie i wrócił do jedzenia.

Zamyśliłam się.

– Może jest gejem. Nigdy nie widziałam faceta odpornego na podwójne D Marybeth.

Eeny zarechotała.

– Zważywszy na to, jak jego wzrok przykleił się do twojego tyłu, kiedy odmaszerowałaś od baru, powiedziałabym, że ten chłopak zdecydowanie nie jest gejem.

Sapnęłam przerażona.

– Patrzył na mój tyłek?

Eeny zmierzyła mnie wzrokiem z góry na dół, unosząc brwi.

– A co, musisz przedstawić faceta mamusi, zanim dane mu będzie rzucić okiem na twój zadek?

Warknęłam.

– Nie, to nie... on tylko... co za kretyn!

Kiedy ktoś mówił bez sensu, Eeny mrużyła jedno oko i patrzyła z ukosa. Teraz właśnie tak na mnie spoglądała, krzyżując ramiona na piersi.

– Nie mów, że nie uważasz go za przystojniaka.

Skrzywiłam się.

– Przystojniaka? A skąd mogę wiedzieć? Nie da się nic zobaczyć przez te rogi i rozwidlony język!

Eeny zacisnęła usta.

– Mm-hmm.

– Nie masz przypadkiem czegoś do roboty, Eeny? – powiedziałam rozdrażniona kierunkiem, w jakim zmierzała ta rozmowa.

Wzruszyła ramionami.

– Mówię tylko, że skoro LaDonna i ta plotkara Marybeth poświęcają tyle czasu, żeby zwrócić jego uwagę na swoje lafiryndziarskie tyłki, to nie dlatego, że jest brzydki.

– Nie, chodzi o to, że jest obrzydliwie bogaty. A poza tym, sama nazwałeś go wilkołakiem. Ty też nie uważasz go za przy stojniaka!

Zagdakąła jak kura.

– Och, skarbie, sądzę, że cały ten czas, który spędziłeś bez faceta, sprawił, że stałeś się ślepa.

Z drugiego końca kuchni usłyszałam śmiech Hoyta.

Spojrzałam w sufit i westchnęłam.

– Panie, dlaczego ja w ogóle zatrudniam tych ludzi?

Hoyt znowu zarechotał.

– Domyślam się, że to jedno z tych retorycznych pytań, bo wszyscy dobrze wiemy, że nie miałabyś w menu ani jednego ja-dalnego deseru, gdyby nie ja...

– Och, wypchaj się ciastem i wracaj do roboty, Hoyt! – zarządziła Eeny, opierając rękę na swoim okazałym biodrze. – Przy sięgam, że jeśli będę musiała znowu słuchać o twoich ponadprzeciętnych umiejętnościach radzenia sobie z ciastem, padnę i umrę!

Hoyt, zakochany w Eeny od bez mała sześćdziesięciu lat i odrzucany równie długo, posłał jej leniwy uśmiezek i puścił oko.

– No, daj spokój, maleńka. Oboje dobrze wiemy, że to nie moje zdolności ugniatania sprawiają, że miękną ci kolana.

– Jasne – powiedziała Eeny, wywracając oczami. – Jesteś staruchem cierpiącym na urojenia.

Hoyt uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– A ty, pszczołeczko, jesteś pyską, małą jeżynką. Chodź tutaj i daj staremu Hoytowi buziaka.

– Pff. Lepiej nie czekaj z zapartym tchem – odparła Eeny, potrząsając głową.

Wtedy Pepper wparowała do kuchni bez tchu.

– Bianca! Prosi, żebyś do niego podeszła!

Żołądek mi się wywrócił. Nie musiałam pytać, o kogo chodziło.

Zerknęłam na stolik Jacksona Boudreaux, spodziewając się zobaczyć, jak dusi jednego z pomocników kelnera, ale on po prostu siedział z ramionami skrzyżowanymi na piersi, sztyletując wzrokiem otoczenie.

Ten facet nadawał zupełnie nowe znaczenie wyrażeniu *wredny wyraz twarzy*. Wyglądał, jakby jego twarz stała w płomieniach, a ktoś próbował wydłubać ją widelcem.

– Czego on chce? Czy Marlene już przyniosła mu rachunek?
– zapytałam.

– Tak! A wtedy mnie zawołał i dał to! – Pepper triumfalnie uniosła banknot studolarowy. – A kiedy zapytałam, za co to, powiedział niby mimochodem: „Nie lubię patrzeć, jak kobieta płacze”. Wyobrażasz sobie? – Zachichotała radośnie. – Gdybym wiedziała, że dostanę stówę napiwku, jeśli się rozplaczę, ryczałabym jak bóbr do każdego klienta od pierwszego dnia!

Zacisnęłam zęby. Ale ma tupet, próbując przekupić Pepper za to, że był nieznośnym gnojkiem!

Niestety działało.

Jednak *ja* nie zamierzałam pozwolić mu szastać pieniędzmi na prawo i lewo, żeby mógł zamaskować swoje okropne zachowanie. Może i nie byłam tak bogata jak on, ale miałam swoją dumę. Nikt mnie nie kupi. Jego majątek nie robił na mnie żadnego wrażenia.

W zasadzie, mógł wziąć te swoje pieniądze i wsadzić je sobie w tyłek, razem z wiadrem raków od Pepper!

– Eeny – powiedziałam stanowczo, wskazując na placek, który układałam na talerzu – upewnij się, że to trafi na stolik numer sześć. Wracam za chwilę.

– Oho – powiedziała, uważnie obserwując mój wyraz twarzy.
– Niech ktoś przyniesie gaśnicę. Coś czuję, że biedny pan Boudreaux zaraz stanie w płomieniach.

– To moja pupa jest biedna – mruknęłam i wyszłam przez kuchenne drzwi.

Pokonałam najkrótszą drogę do jego stolika, zatrzymałam się obok i nawet się nie uśmiechnęłam, kiedy na mnie spojrzał. Chłodna jak góra lodowa, powiedziałam:

– Chciał mnie pan widzieć?

Zachowałam się profesjonalnie, ale nie zamierzałam całować jego aroganckiego tyłka, nawet jeśli mógł mnie pozwać albo załatwić złe recenzje. Nie lubiłam, kiedy ktoś okazywał mi brak szacunku i patrzył na mnie z góry, a jeszcze mniej lubiłam, kiedy ktoś mi groził. Gdyby był uprzejmy, ten wieczór potoczyłby się zupełnie inaczej, ale jest, jak jest.

Wpatrywaliśmy się w siebie z otwartą wrogością.

Żadne się nie odezwało. Chwila przeciągała się tak, że w końcu stała się niezręczna, a potem nie do zniesienia. Patrzenie mu w oczy przypominało fizyczny atak.

W końcu to on przerwał tę okropną ciszę.

– Na moim rachunku jest błąd.

– Nie, wszystko z nim w porządku.

Jego brwi, gęste i czarne, pilnie potrzebujące depilacji, powędrowały w górę.

– Musi zawierać błąd. Nie mam nic do zapłacenia.

– Zgadza się.

Jego zimne, niebieskie oczy pały mnie spojrzeniem.

– Siedziałem tu i jadłem przez kilka godzin...

– Proszę mi uwierzyć, jestem całkowicie świadoma tego, jak długo pan tu był i ile zjadł.

Rozparł się na skórzanym siedzeniu, ułożył dłonie na blacie stołu i przyjrzał mi się tak, jakby był naukowcem, który ogląda drobnoustroje pod mikroskopem. To było okropne, ale nie dałam po sobie poznać, jak bardzo mnie poruszyło.

Zastanawiałam się, czy ten podskakujący mięsień na jego szczęce to znak zbliżającej się morderczej furii.

A potem miał czelność powiedzieć głosem wręcz ociekającym protekcjonalizmem:

– Moja opinia o pani i tej restauracji nie może zostać poprawiona dzięki darmowemu posiłkowi, panno Hardwick.

Słodki Jezu, miałam ochotę podnieść nóż do steków, który leżał przy jego talerzu, i wbić mu go w oko.

Zamiast tego powiedziałam:

– Nie interesuje mnie pana opinia, panie Boudreaux. Pana posiłek jest na koszt firmy, ponieważ uwielbiam whiskey produkowaną przez pana rodzinę i zainspirowała mnie ona do stworzenia tego menu, z którego jestem wyjątkowo dumna i które uszczęśliwiło wielu ludzi. Zaoferowałabym panu darmowy posiłek, nawet gdyby nie zachowywał się pan tak, jakby słońce wstawało tylko po to, żeby ujrzeć pana twarz.

Po raz pierwszy zobaczyłam w jego oczach coś innego niż stal. Trwało to zaledwie chwilę – przebłysk emocji, który rozgrzał jego spojrzenie, ale szybko zniknął.

– Nalegam, żeby zapłacić... – oznajmił sztywno.

– Nie przyjmę pana pieniędzy.

Jego policzki zaróżowiły się delikatnie. Przypuszczam, że nie nawykł do słowa *nie*. Dało mi to niesamowitą satysfakcję, mimo że właśnie straciłam czterysta dolarów w jedzeniu, a nie mogłam sobie na to pozwolić.

Wtedy wstał. Zrobił to gwałtownie i niezwykle gładko jak na tak wielkiego mężczyznę – jeden błyskawiczny wyprost kończyn i już był na nogach, górując nade mną.

Znowu.

Spojrzałam w górę na niego i przełknęłam. Nie odczuwałam strachu, ale zdecydowanie wytrącał mnie z równowagi. I, jasna cholera, czemu ten zrzędlivy, paskudny skurczybyk musiał pachnieć tak dobrze? Gdybym nie była pewna, że ślinka napływa mi do ust z powodu roznoszącej się w powietrzu woni zaprawionej burbonem zupy, mogłabym pomyśleć, że to przez niego.

– Panno Hardwick – powiedział. Jego głos stał się nieco ostrzejszy, a oczy zapłonęły niebieskim ogniem. – Zachowuje. Się. Pani. Niedorzecznie.

Ależ on lubił odznaczać każde słowo jak uderzeniem młotka! Zaśmiałam się niekontrolowanie.

– A pan, panie Boudreaux, jest dowodem na to, że pula genów powinna znaleźć się pod ścisłą kontrolą. Życzę miłego wieczoru.

Po raz drugi tego dnia odwróciłam się plecami do Jacksona Boudreaux i odeszłam. Jednak tym razem byłam boleśnie świadoma, że mógł gapić się na mój tyłek.

Serdeczne dzięki, Eeny.